Wspominając wybitnego redaktora

Florian Śmieja z Anną Heydenkorn. Na stole fotografia Benedykta Heydenkorna, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

Z odejściem 10 października 1999 roku redaktora Benedykta Heydenkorna, zmalał poczet znakomitych działaczy emigracji żołnierskiej, tak bardzo zasłużonej.

Urodzony w 1906 roku w Starej Birczy koło Przemyśla, mieszkał we Lwowie i w Warszawie. Był jednym z najmłodszych obrońców Lwowa. Po ukończeniu gimnazjum był wolnym słuchaczem na Uniwersytecie Warszawskim, ale jeszcze jako student rozpoczął działalność dziennikarską współpracując z szeregiem pism od „Dziennika Lwowskiego" począwszy po „Epokę" i „Głos Prawdy" redagowany przez Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Pisał też do „Buntu Młodych", „Kroniki Polski i Świata" oraz „Drogi". Następnie związał się z warszawskim biurem dziennika „Berliner Tageblatt", a przed wybuchem wojny pracował dla francuskiej agencji prasowej Havas.

Dopiero 17 września opuścił Warszawę i kierując się na południowy wschód wpadł w ręce NKWD. Przesłuchiwany wpierw w więzieniach na ziemiach polskich, deportowany został do obozów w Woroneżu, a następnie w Dniepropietrowsku. Wyszedł na wolność po układzie Sikorski-Stalin i dotarł do Tatiszczewa do formującej się tam Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Razem z nią wędrował przez Iran, Irak i Palestynę do Włoch. We Florencji w 1944 roku mianowany został zastępcą redaktora „Dziennika Żołnierza", a potem jego naczelnym redaktorem, aż do likwidacji w 1946 roku. Po zakończeniu działań wojennych demobilizował się w Anglii, a w 1949 roku przyjechał do Kanady. W Anglii pracował w „Słowie Polskim", a następnie w „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza".

W Kanadzie zaczął od pracy fizycznej. Z czasem stał się kancelistą w biurze Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Hamilton. Tymczasem ośrodki polonijne w prowincjach preryjnych zaczęły tracić prymat na rzecz Quebec i Ontario, bo tam głównie osiedliła się fala wojennej emigracji. W Toronto ukazywał się tygodnik „Związkowiec". Tam też zaczął wychodzić „Głos Polski". Jego redaktor, Stanisław Zybała dowiedział się o Heydenkornie, którego mu polecił na prośbę gen. Władysława Andersa prezes Zrzeszenia Kombatantów Polskich w Kanadzie. Zatrudniono Bumka (bo tak go nazywali najbliżsi) kiedy znalazł się wakans. W tym piśmie przepracował pięć lat i w roku 1957 przeszedł do „Związkowca" redagowanego przez Franciszka Głogowskiego. We wrześniu 1964 objął stanowisko redaktora naczelnego. W odróżnieniu od pro-londyńskiego „Głosu Polskiego", „Związkowiec" miał tradycję pisma liberalnego, świeckiego, trybuny emigracji robotniczo-chłopskiej, która uważała się za obywateli Kanady o polskim rodowodzie i sentymentach, lecz pragnęła być niezależna od politycznych dyrektyw zarówno starego kraju, jak też polskich władz emigracyjnych. Polonia ta angażowała się po stronie kanadyjskiej wchodząc w jej struktury gospodarcze, społeczne i polityczne.

Będąc zawodowym dziennikarzem doświadczenie swoje wprzągł w pracę nad „Związkowcem", popularyzując akcje społeczne, jak np. zbiórka pod hasłem „Chleb dla Polski", czy też angażując się poważnie w sprawę odesłania skarbów wawelskich do Polski.

(Choć w artykule ambasadora Rzeczpospolitej Polskiej, prof. B. Grzelońskiego na ten temat, padło wiele nazwisk, nie znalazłem wśród nich nazwiska Heydenkorna). Utrzymał formę półtygodnika i wygospodarował niewielkie honoraria, aby przyciągnąć do pisma znaczniejsze pióra. I tak pozyskał m.in. Adama Ciołkosza, Andrzeja Chciuka, Marię Kuncewiczową, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Józefa Mackiewicza, Danutę Mostwin, Tadeusza Nowakowskiego i Wacława Zagórskiego. W terenie wyszukał korespondentów, z Polski zdobywał nie cenzurowane raporty, wprowadził nowe działy, wydawał numery specjalne. Niektóre z nich liczyły do 80 stron „Związkowiec" pod jego redakcją stał się najbardziej poczytnym i największym polskojęzycznym pismem w Kanadzie. Jego nakład osiągnął 12,500 egz. i pismo miało wielu oddanych prenumeratorów. Czytano je również poza Kanadą.

Dobierając sobie współpracowników Heydenkorn utrzymywał z nimi bliski kontakt, a wizyta w redakcji zawsze była przyjemnością. Atrakcję stanowiła skromność i bezinteresowność redaktora. Nie wynosił się, nie należał do żadnego ugrupowania. Jan Kowalik ocenił, że Heydenkorn

> ...zostawił ustabilizowane pismo polonijne na dobrym poziomie, zrównoważone, tolerancyjne, pro-kanadyjskie, ale zarazem otwarte na Świat, a przede wszystkim na Polskę.

Nie było jednak jego odejście bezzasadne. W liście do mnie Heydenkorn powiedział:

> …Nie chciałem dłużej robić „Związkowca” z wielu względów, ale chyba zdecydowało stwierdzenie, iż nie mam partnerów do przeprowadzenia zasadniczych spraw, a sytuacja jest krytyczna. Nie obawiam się, ale jestem głęboko przekonany, iż nie tylko „Związkowiec” będzie spadał, ale Związek Polaków w Kanadzie, jak również inne organizacje. Trzeba bowiem prawdziwej reformy, poważnych zmian, a brak do tego odpowiedzialnych ludzi.

Upomniał się o Heydenkorna po jego przejściu na emeryturę Franciszek Głogowski. Apelował, by „… w jakiejś formie wyrazić uznanie i wdzięczność za tytaniczną wprost pracę…”. Sugerował, by „Związkowiec” stał się inicjatorem takiej imprezy skoro przez bez mała dwadzieścia lat był jego redaktorem. Jednak stopniowa degrengolada pisma, inni ludzie i odmienne cele sprawiły, że myśli jego nie podjęto.

Heydenkorn współpracował również z innymi pismami m.in. z londyńskim „Dziennikiem Polskim” i paryską „Kulturą”. Kiedy zaczął odwiedzać Polskę i pisać korespondencje korygujące stereotypy panujące w emigracyjnej prasie, naraził się ludziom o innych poglądach. Znawcy natomiast, np. jeden z czołowych

przedwojennych dziennikarzy W. Giełżyński, podnosili wysoko walory tych artykułów z 1958 roku, kiedy łatwo było przeholować w jedną albo drugą stronę. Heydenkorn potrafił być bardzo sprawiedliwy i doceniali to ludzie tacy jak M. Krąpiec, M. Kula, S. Kisielewski czy J. Turowicz.

Odszedłszy na emeryturę w 1977 roku, Heydenkorn pracował jako wolontariusz w *Multicultural History Society* of Ontario. Praca tego rodzaju nie była mu nowością wszak już w Polsko-Kanadyjskim Instytucie Badawczym, którego był jednym z założycieli, a potem długoletnim zastępcą dyrektora, ani W. Turek, ani T. Krychowski, R. Kogler ani B. Heydenkorn za swoją pracę grosza nie brali. Byli po prostu społecznikami starej daty i dzięki takim ludziom tyle można było dokonać mimo ustawicznego braku finansowego wsparcia. We współpracy z *History Society* ukazały się cztery książki „polskie”, a periodyk „Polyphony” regularnie przynosił teksty o tematyce polskiej. W uznaniu zasług nadano Heydenkornowi tytuł członka honorowego oraz ustanowiono stypendium jego imienia dla młodych badaczy problemów etnicznych w Kanadzie.

Benedykt Heydenkorn i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. z rozdziału p.t. „O Polonii Kanadyjskiej z Benedyktem Heydenkornem”, [W:] Aleksandra Ziółkowska, Korzenie są polskie, Warszawa 1992.

Benedykt Heydenkorn i Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. z rozdziału p.t. „O Polonii Kanadyjskiej z Benedyktem Heydenkornem”, [W:] Aleksandra Ziółkowska, Korzenie są polskie, Warszawa 1992.

Już przed wojną Heydenkorn miał zacięcie socjologa. Zadebiutował rozprawą „Proletaryzacja inteligencji zawodowej w Polsce”. W Kanadzie jako dziennikarz i współzałożyciel Instytutu Badań wziął się do pracy nad kanadyjską Polonią. Poświęcił jej wiele artykułów i szkiców. Napisał także, wprowadził i zredagował dwadzieścia różnych tomów prac w języku polskim, angielskim i francuskim. Zabłysnął talentem wydając monografię „Poles in Manitoba” pozostawioną przez Wiktora Turka w manuskrypcie. Wymagała ona mozolnego przepracowania i skrótów. Podobnego zachodu potrzebowała angielska wersja „Tworzywa” Melchiora Wańkowicza. Także niedokończona antologia Danuty Bieńkowskiej „Meeting Polish Writers” doznała edytorskiej pieczy Heydenkorna. Posypały się kolejne tomy rozpraw i materiałów dokumentarnych o kanadyjskiej Polonii inspirowane i wspomagane przez niego. Traktowały one o szkolnictwie polonijnym, o prasie, o organizacjach społecznych, o literaturze emigrantów, o osadnictwie chłopów, o roli kobiety na emigracji, o polskim środowisku w Toronto. Jedna z tych publikacji to „Poles in Toronto” – analiza ankiety przeprowadzonej przez Ewę Morawską i Rudolfa Koglera.

Opisanie Polaków w Toronto leżało Heydenkornowi na sercu. W rozmowach swoich nawracał często do tego tematu i zachęcał, jak mógł do pisania przyczynków wszelkiego rodzaju, by ułatwić pracę przyszłym badaczom kanadyjskiej Polonii. Zredagowany przez niego numer specjalny półrocznika „Polyphony”

poświęcony Polakom w Ontario jest pozycją ciągle jeszcze ważną. Wespół z Henrykiem Radeckim opracował wzorowo historię całej grupy polskiej w Kanadzie w monografii „A Member of A Distinguished Family: The Polish Group in Canada" (1976). Ukazała się ona po angielsku i po francusku w serii wydawnictw Ministerstwa Wielokulturowości. Heydenkorn jest ponadto autorem polskich haseł w „The Canadian Encyclopaedia".

On też zaczął i przeprowadził konkursy na pamiętnik i wydał cztery tomy pamiętników emigrantów w języku polskim i jeden w języku angielskim. Te, które nie zostały wybrane do druku, przekazane zostały do archiwów kanadyjskich. Stanowią one nie tylko wzbogacenie naszej wiedzy o emigracji, ale ponadto stanowią fascynującą lekturę i świadectwo naszej w tym kraju obecności.

Heydenkorn połączył historię Polonii sprzed pierwszej wojny światowej z kolejnymi falami imigrantów, ukazał jej aktywność, dojrzałość aspiracji organizacji polonijnych oraz szeroki wachlarz ich zainteresowań i kompetencji. Zastawszy Polonię zróżnicowaną, ale raczej mało widoczną, jeśli nie wręcz anonimową, zostawił ją zbadaną, opisaną i przedstawioną w oficjalnych językach Kanady.

Był osobą bardzo prywatną. Nie lubił udzielać wywiadów.

Tłumaczył mi:

> …Nie mam „melodii” do wywiadów, nigdy nie miałem i dlatego z zasady nie udzielam. Nie umiem też mówić o sobie, bardzo nawet nie lubię. Nie odpowiadam na ankiety, kwestionariusze itp. (….) Myślę iż są sprawy, przeżycia, myśli, które winny pozostać tylko i wyłącznie u jednostki. Są osobistą tajemnicą i bynajmniej to nie muszą być zagadnienia ważne, bardzo istotne – oczywiście te również – ale jakieś specjalnie intymne.

Zachęcali go przyjaciele do napisania pamiętnika. Nie chciał. Dowodził, że pisać mogą jedynie ludzie posiadający dokładne notatki, bo inaczej wszystko się pomiesza i wyjdą bajki.

Heydenkorn dużo pisał, często swoich tekstów nie sygnował, nie zbierał odbitek swoich prac. Kiedy poszedł na emeryturę, nie mógł wracać do dawnych artykułów i nie podejmował prób, by je zrekonstruować. Szkoda to wielka i on sam niekiedy bolał nad tym, wiedząc, że wiele jego pisania przepadło bezpowrotnie. Bo nawet do recenzji robił sobie skrupulatnie notatki, a rzadko tylko ograniczał się do jednej tylko lektury omawianej książki. Żałował m.in. tego, że nie dokończył monografii „Gazety Katolickiej”, której spory drukowany fragment stanowi doskonale udokumentowane studium przedmiotu.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeru

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC"

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT" — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI" — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU"

Nie pisał wierszy, ale poezję lubił i bardzo poważał. Miał swoje predylekcje. Ze współczesnych najbardziej cenił Zbigniewa Herberta podnosząc wewnętrzną siłę jego poezji. Nie odpowiadał mu Przyboś. Na ogół nie podobała mu się najnowsza twórczość poetycka. Kręcił głową nad utworami drukowanym przez paryską „Kulturę". Te wiersze wydawały mu się okropne, nie na poziomie. „Po co pisane, dla kogo pisane i co one mają reprezentować" – pytał retorycznie. Był pod urokiem Kasprowicza i Staffa. O Norwidzie mówił, że to poeta, który ma wiersze piękne i takie jakby w sobie złamane, ze skazą, niewydarzone, szlachetne eksperymenty, które nie wyszły. Niemniej był w Norwidzie zakochany za jego absolutny indywidualizm, niezależność i samotność. Łobodowskiego poważał jedynie jako poetę. Jego zdaniem:

> Problematykę ukraińską, stosunki polsko-ukraińskie omawiał namiętnie, z pasją. Nieraz miłość i obrona Ukrainy nasycona była niesprawiedliwością wobec Polski w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Niepokaźnego wzrostu był człowiekiem nietuzinkowego formatu, dziennikarzem z charakterem. Bystry, niezwykle oczytany, obdarzony doskonałą pamięcią, był odważny choć właściwie miękki i łagodny. Nie znosił bufonów i szarlatanów, których na emigracji nigdy nie brakowało. Będąc profesjonalistą nie pozwalał dyrekcjom prasowym sobą pomiatać, zdobywając prestiż i rozgłos. Był ozdobą swojego zawodu, który za jego czasów liche dawał wynagrodzenie. Za to cieszył się wdzięcznością i respektem ludzi, którzy z całym zaufaniem zwracali się do redaktora w najrozmaitszych sprawach, jako do człowieka z wpływem i autorytetem. Był twardym orzechem do zgryzienia przez swoją niezależność, skromność, pracowitość, sumienność i lojalność. To był człowiek nie do kupienia.

Nie znosząc fuszerki, bylejakości i łatwizny cenił wysoko bezinteresownych społeczników i sumiennych fachowców. Za takiego uważał Rudolfa Koglera, rzetelnego statystyka sprzeciwiającego się z chybionego patriotyzmu zawyżanym liczbom Polaków w Kanadzie, a także kwestionującego zasadność uważania za Polaków emigrantów w trzecim pokoleniu.

Powtarzał, że nie chciejstwo, ale rzeczywistość tylko się liczy. Podzielał też pogląd Koglera, by Polacy osiedleni w Kanadzie nie mieszali się do spraw politycznych w Polsce, by nie ingerowali w sytuacje, w których żyć nie muszą i żadnych konsekwencji swoich czynów nie ponoszą. O Zybale napisał, że cechuje go:

> ogromne poczucie humoru i pozbawiony jest nadętej koturnowej powagi; błyskotliwy, mistrzowsko operuje docinkami w dyskusjach; trzeźwy w ocenach nie daje się unieść efekciarskim pozorom, ale stara się dotrzeć do sedna rzeczy…

Bolał nad wczesną śmiercią świetnie zapowiadającego się Tadeusza Glisty.

Będąc osobą suwerenną, nie pozwalał by nim rozporządzano. napaści i nagonki przyjmował z godnością doświadczonego człowieka: najczęściej wcale na nie nie odpowiadał. Kiedy ja również stałem się obiektem insynuacji, pocieszał mnie, bym jako społecznik niczego innego nie oczekiwał:

> …jak kamieni, kubłów obrzydliwości itp. Swoje jednak trzeba robić. Całe życie byłem bity i kopany, ale nie potrafili mnie ani zgnoić ani zgnębić. Byłem i zostałem nonkonformistą.

> Miałem najsilniejsze oparcie w żonie.

Przeszło pięćdziesięcioletnie pożycie małżeńskie z poznaną w wojsku panią Anną dało Bumkowi podstawy materialne i psychiczne, na których mógł rozwinąć swoje talenty dziennikarskie i społeczno-kulturalne. Żona stworzyła mu skromny, ale komfortowy i śliczny dom pełen obrazów i rzeźb emigracyjnych artystów, dom, który chętnie odwiedzali przyjaciele z bliska i daleka łącznie z całą generalicją „Tygodnika Powszechnego" i KUL-u, W bogatej bibliotece znaleźć było można tomy dedykowane mu przez wybitnych pisarzy. Ze ścian spoglądała stanowcza twarz ukochanego Komendanta. Może to była nie tylko dekoracja.

Heydenkorn nigdy nie posiadał samochodu ani konta bankowego. Na mój entuzjastyczny list na temat kanadyjskiej przyrody odpowiedział jednoznacznie:

> ...Nie wybieram się do lasu ani nad jezioro. Nie znoszę komarów, nie uprawiam żadnych sportów. Kocham muzykę, lubię dobre koniaki, piękne kobiety, wesołe dzieci, rozmowy z miłymi ludźmi. Bardzo konserwatywne i staroświeckie zamiłowania, prawda? No, trudno, już chyba nie zmienię się.

Do końca interesował się prasą polonijną. Czytał i komentował ją. Oglądając niezrozumiałe meandry „Związkowca” zauważał jego brak stateczności, ustawiczne zmiany redaktorów. Mawiał, że każdy numer pisma był odmienny. Wiedział z doświadczenia, że gazeta jest czymś nietrwałym, dziś ją się czyta, jutro wyrzuca. Nie rozumiał drukowania ogromnych artykułów, czy artykułów w częściach. Twierdził, że wszystko musi mieścić się w tym samym numerze. Nie widział sensu drukowania powieści w odcinkach dziś, kiedy łatwo jest zdobyć książkę i ludzie już nie wycinają, jak dawniej poszczególnych odcinków. Dziwił się drukowaniu tasiemcowych listów do redakcji, ganił używanie ordynarnego języka w prasie. Mawiał, że to dziedzictwo komunistów, którzy dziś poszli w podziemie, ale ich chamstwo pozostało na wierzchu. W piśmie szukał artykułu wstępnego, chciał wiedzieć, czy redaktor jest za czymś czy przeciwko czemuś. Nie poważał ludzi bez twarzy, manipulantów i cwaniaków. Śmiał się z buńczucznych zapowiedzi neofitów na nowym terenie i ich bombastycznych roszczeń i prognoz, kiedy rzeczywistość obnażała ich ignorancję oraz brak autorytetu i poparcia. Te wieczne mrzonki.

Toronto na starej pocztówce.

Dobrodusznie kiwał głową nad hałaśliwą autoreklamą wątpliwych emigracyjnych notabli o naciąganych życiorysach i przemilczanych potknięciach życiowych, ludzi, którzy z palca wyssali tytuły i pozycje, bajali o niesprawdzalnych zasługach, byłych aparatczykach ośmieszających się w chorobliwych pragnieniach, by zaimponować naiwnym. Nie znosił karierowiczów, niepokrycia, zwykłego oszustwa. Popierał dobrą robotę, bez końca inspirował i doradzał, podsuwał materiały. Imponowali mu ludzie czynu osiągający cel bez rozgłosu, ofiarni, nacechowani młodzieńczym optymizmem. Do nich m.in. zaliczał ks. St. Puchniaka, ks. J.Smitha, inż. Z. Przygodę, inż. W. Krajewskiego.

Heydenkorn nie był łasy na pieniądze, a jeszcze mniej na zaszczyty. Z zażenowaniem przyznał, że otrzymał Złotą Odznakę Kongresu Polonii Kanadyjskiej i order Polonia Restituta od ostatniego prezydenta Rządu Polskiego na wychodźtwie. Robił swoje. Redaktor paryskiej „Kultury”, który pamięta Zmarłego jeszcze sprzed wojny w swoim wspomnieniu nazwał go świetnym dziennikarzem,

> …który był jednocześnie naukowcem, działaczem społecznym i bardzo dobrym człowiekiem.

Cztery portrety

Wilek Markiewicz

Przeglądając ostatnio moje stare prace przywiezione z Europy, powróciły mi wspomnienia związane z niektórymi portretami. Może będzie kiedyś okazja by je pokazać na retrospektywnej wystawie, w każdym razie historia ich wydaje mi się dość ciekawą, aby jej nie zatrzymywać tylko dla siebie.

Wilek Markiewicz, torontoński artysta, zmarł w listopadzie 2014 r. w Toronto.

Janek (rysunek)

Wilek Markiewicz, Janek

Niestety, nie mogę podać jego nazwiska, choć – jak czytelnicy zmiarkują – ma ono swe znaczenie w historii. Janek urodził się

bądź w Westfalii, jak jego rodzice, bądź we Francji. Miał w sobie trochę krwi niemieckiej, nie wiem, czy po mieczu, czy po kądzieli. Po polsku mówił poprawnie, po francusku, jak Francuz. Podczas wojny miał ok. 9 lat. Ojciec oddał go do Hitlerjugend. Poznałem ojca, przemiły pan, co widocznie jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Janek opowiadał mi jak smarkacze w jego wieku zarąbali się na śmierć szablami w pojedynku. Miał twardą szkołę w Hitlerjugend. Nie afiszował się tym zbytnio i prosił mnie o dyskrecję, którą utrzymuję… Był gorącym polskim patriotą i raz, podczas dyskusji z kolegami na temat europejskiego federalizmu, perorował: „Sobieski był federalistą?! Bolesław Chrobry był federalistą?! Federalizmy to żydowskie wymysły!”

Pomimo oznak twardości i zdziczenia Janek był sentymentalny. Ja byłem jednym z niewielu, który zdawał sobie z tego sprawę i może dlatego byliśmy przyjaciółmi. Janek kochał dziewczęta z wzajemnością. Opowiadał mi, jak najbardziej sofistykowane kobiety stawały się ladacznicami u niego w łóżku i wierzyłem mu, bo Janek nie miał imaginacji. Związał się z bardzo ładną Francuzką, ona mu pomagała finansowo, gdy coś tam studiował, później pobrali się. Przyszła wojna w Algierii i Janek został zmobilizowany. Opowiadał mi jak rżnęli Arabów i mogę sobie wyobrazić Janka w akcji.

Gdy go spotkałem już po wojnie, całe jego życie zaczęło spadać ostrą krzywą w dół i chyba się już nigdy nie podniosło. Podczas

jego pobytu na froncie żona go opuściła. Nie mogę jej potępiać nie znając faktów. Janek mógł być niemożliwym do współżycia. Wróciwszy do domu w poszarganym uniformie znalazł mieszkanie zamknięte na kłódkę i musiał iść spać do hotelu. Zdaje się, że był ranny i schorowany. Z armii pozostały mu czarne wspomnienia. Ktoś zrobił z niego Żyda, że jego nazwisko brzmi jak Mojżesz! Żałuję, że nie mogę zacytować jego nazwiska, aby się czytelnicy przekonali, jaki to absurd. W każdym razie Janek z Hitlerjugent i z mordą SS-mana zbierał cięgi za żydostwo. Nie pytałem się, kto mu ten kawał wyrządził: Polak, Francuz czy Niemiec – armia francuska jest wielokulturową, jak Toronto. Nie zajmowałem się wtedy tymi sprawami. Ubawiło mnie tylko to, że z nim służył autentyczny Żyd, sąsiad jego rodziców. Obie matki przyjaźniły się i obie płakały nad losem swoich synów.

Straciłem z nim kontakt i gdy go ujrzałem po roku zmiarkowałem, że się chyba nie pozbierał ze swych przeżyć. Chodził po ulicy nocą w towarzystwie obwiesiów, sam jakby pod wpływem narkotyków czy alkoholu. Był w wisielczym humorze. Czułem, że nie mamy ze sobą nic więcej wspólnego, że ani on mnie nie potrzebuje, ani ja dla niego nic nie mogę zrobić – i pozostałem niezauważony.

Esteban czyli Stefan (olej)

Wilek Markiewicz, Esteban

Esteban jest Hiszpanem, z matki Katalonki, ojca Andaluzyjczyka. On sam wychowany w katalońskim miasteczku, przybył z Barcelony do Paryża ze snami glorii dziennikarskiej, jako wysłannik tamtejszego pisma ilustrowanego. Posiadał wielką wrażliwość pisarską, lecz do osiągnięcia sukcesu brakowało mu trzech podstawowych rzeczy: 1) inteligencji, 2) wykształcenia, 3) pieniędzy. W Barcelonie, w swym piśmie posiadał rubrykę a la „Dear Abby”, z której wywiązywał się na pewno nieźle, ponieważ

umiał wniknąć w sytuację z życia i miał religijną moralność do przyjęcia przez ogół. Lecz zachciało mu się szerokich wód i oto znalazł się w Paryżu. Jego rolą miały być wywiady z rozmaitymi „gwiazdami” piosenkarstwa i telewizji. Lecz nie znał jeszcze zbyt dobrze francuskiego. Dał mi do przeczytania swe krótkie historie, z których jedna zrobiła na mnie głębokie wrażenie. Mowa tam o młodym malarzu, który pod wpływem konfliktu opuścił swój dom rodzinny i miasteczko, i wylądował z mizerną sumą pieniędzy w Barcelonie. Na rogu ulicy zobaczył młodą pociągająca prostytutkę i z młodzieńczą beztroską postanowił wydać na nią ostatni grosz. W hoteliku weszli w przyjacielską rozmowę i opowiedział jej swą historię. Ona mu rzekła: „Moja historia jest nieco podobna do twojej, tylko dla mnie jest już za późno. Wracaj do domu, do ojca i matki, nim moloch miasta nie pochłonie i ciebie”.

Było to tak ciepło opowiedziane i takim prostym językiem, że wczułem się w sytuację, jakbym był przy tym. Powiedziałem Estebanowi: „Jestem zachwycony, ty jesteś hiszpańskim Balzakiem od prostych spraw. Oto czego nie powinienem mu był powiedzieć. Uraziłem go, że nie potrafi pisać o niezwykłych sprawach i zaczął wypisywać jakieś szmiry o miłości i mordach a la „soap opera” i nie rozumiał dlaczego mi się to nie podoba. Prawdopodobnie posądzał mnie o zazdrość.

Historia Estebana jest niestety również historią upadku, choć

walczył z podziwu godną wytrzymałością. Właściwie młodość pozwoliła mu przetrwać. Srogą zimą paryską, która jest zimniejsza od torontońskiej, tyle że bez śniegu, wychodził późnym wieczorem ode mnie – nie wiedziałem dlaczego, z tak krzywą miną. Otóż spędzał noce pod gołym niebem, w jakimś cieplejszym kanale wydechowym między włóczęgami i degeneratami. Tajemnicę umiał zatrzymać dla siebie. Moja żona mawiała: „Dlaczego Esteban tak śmierdzi – nie zmienia odzieży, czy co?”. Raz go spotkała na ulicy w tym stanie i powiedziała mu: „Esteban, albo się pozbierasz, albo wracasz do Hiszpanii”. Był u nas parę dni, po czym znalazł pracę i pomieszczenie. Został sprzątaczem w jakiejś publicznej pływalni. Pomimo, że otrzymywał z początku ciepłe listy z redakcji, utracił w końcu kontakt ze swoim pismem. Przechodził przez życie wciąż ze swym chaplinowskim uśmieszkiem, lecz nie był to już ten sam Esteban. Stał się brzydkim cynikiem, przypuszczalnie bez dawnej religijności i moralności, co dla człowieka prostego może być bardzo niebezpieczne. Twierdził, że jest zadowolony i przypuszczalnie był nim. Mawiał: „Gdyby mi zaofiarowano redaktorską pozycję w Buenos Aires, powiedziałbym, by ją sobie zatrzymali dla siebie”. Twierdził, że nie chce utracić kontaktu z Europą, lecz czym była dla niego ta Europa? Późną nocą, po pracy zupa cebulowa w paryskich Halach, później – gdy akurat nie miał kochanki – prostytutka. Bez wstrętu i z odrobiną ciekawości, opowiadał mi o rozmaitych propozycjach, które otrzymywał przy pracy w pływalni. „Esteban, na miłość boską,

trzymaj się z daleka” – mówiłem mu. Z zagadkowym uśmieszkiem przyjmował, co by mu nie powiedziano. Ponoć wyjechał do Hiszpanii z uciułaną gotówką i ożenił się. Nie wiem, co się z nim stało, jako że nasza przyjaźń się zerwała, z przyczyn nie należących do tematu.

Carol (pastel olejny)

Wilek Markiewicz, Carol

Poznałem ją w Paryżu, gdzie pracowała jako służąca. Pochodziła z chłopskiej rodziny z okolicy Burgos (płn. Hiszpania). Została wówczas sierotą i ojciec z macochą traktowali ją całkiem nie po ludzku. W wieku lat 5-ciu oddali ja do klasztoru. Tam też nie traktowano ją poprzez jedwabne rękawiczki, po prostu Hiszpania była twardym krajem, gdzie najsilniejsi przeżywali. Już w wieku 5-ciu lat Carol szorowała klasztorne podłogi i prała odzież od samego świtu, do późnej nocy. Stała na krześle z nałożonymi belkami, żeby móc dosięgnąć balii. Matka przełożona zorientowała się co do bystrości Carol i mawiała: „Ty się ucz, a przerośniesz i swą kondycję i innych". Dzięki pomocy przełożonej i własnych, wcześnie rozbudzonych ambicji, Carol nauczyła się wiele, w warunkach, gdy inne pozostały analfabetkami. W czasie wojny domowej, Burgos było miejscem koszarowym dla Niemców i Włochów, którym się podobała ta mała blondyneczka i obdarowywali ją czekoladkami. Jedni z niewielu, którzy okazali jej trochę życzliwości – prócz przełożonej. Pozostawiła po nich wdzięczne wspomnienie – plus faszyzm. To ostatnie jej później przeszło, ale o tym zaraz. Nie wyrosła i prawdopodobnie skutkiem zaburzeń hormonalnych, wywołanych trudem i niedożywieniem, twarz jej została wydłużoną. Słowem była bardzo brzydka, mimo żywych jasnych oczu i blond włosów. Pracę mogła otrzymać tylko jako służąca i chłopcy parskali na nią. Jako dobra Hiszpanka i w instynkcie samoobrony zrobiła się kąśliwa jak osa i agresywna jak pantera. Ponieważ klasztor był jej jedynym domem, a przełożona jedyną matką, nie opuszczała

niedzielnej mszy, lecz nie była bigotką. Jej podejście do życia było po hiszpańsku pragmatyczne. Na pewno miała kochanków, choć nie interesowałem się jej prywatnym życiem. Jednego poznałem, był to Chorwat, który przypuszczalnie by się z nią ożenił, lecz jej brzydota przezwyciężyła jej wszystkie niepospolite zalety. Rozstali się jak pies i kot. Carol była maleńka, ale nie obawiała się ni diabła. Cokolwiek zaszło, on utracił parę piór.

Opuściła Paryż z pieniędzmi, które jej pozostały i osiedliła się w Madrycie. I teraz zaczyna się dla nas najciekawszy rozdział jej życia. W wieku ponad 50-ciu lat Carol ukończyła doktorat z literatury francuskiej na uniwersytecie w Madrycie. Wiedziałem, że uczęszczała od czasu do czasu na Sorbonę, lecz nie sądziłem, że jest w tym coś poważnego. W tym też okresie utraciła swój faszyzm.

Z Carol nie mam kontaktu z własnej winy. Carol była przyjaciółką mojej żony i mnie oddaną jak siostra, choć ja z niecierpliwością znosiłem ten „babiniec”. Lecz na pewno pamięta mnie, jak ja ją. Carol żyje z kimś obecnie, prawdopodobnie odseparowanym (nie wiem, czy już istnieją rozwody w Hiszpanii). On ją nosi na rękach. Człowiek prosty umie, jak wszyscy Hiszpanie ocenić czyjąś wyższość.

Włodek (rysunek)

Wilek Markiewicz, Włodek

Włodek urodził się przed wojną w polskim więzieniu. Matka – Żydówka, była aktywną komunistką i nazwała syna od Lenina. Ojciec, prawdopodobnie również Żyd, zginął podczas jakiejś akcji bojowej przed, czy podczas wojny. Rosjanie, gdy weszli do Polski

wywieźli ją z dzieckiem do Azji Centralnej i tam przestała być komunistką. Z zawodu była pielęgniarką i gdy protestowała, że Uzbeków i Kozaków się szczepi tą samą igłą, otrzymała odpowiedź: „Eto zwieria (to są zwierzęta), nic im się nie stanie”. Napisała protest do Moskwy i zawezwano ją: „twym protestem wymyliśmy okna, zamknij gębę, albo pójdziesz skąd się nie wraca”.

Zamieszkali w Paryżu, matka zagorzała antykomunistka, zaś syn – trockista. Przychodził pokrwawiony z ulicznych bijatyk. Posiadał wybitny talent malarski, lecz między ideologią i matką, która chciała natychmiast skapitalizować jego prace, nic z tego nie wyszło. Nawet grupa francuskich arystokratów zainteresowała się jego talentem i finansowała go przez jakiś czas. Lecz nie mieli pojęcia o sztuce i wszystko rozbiło się – o politykę. Włodek wegetował, wysoki i chudy wyglądał na Don Kichota. Bez kondycji fizycznej, ani silnego charakteru, nie wiem, co się z nim stało. Bez konkretnego powodu, nie mam dobrego przeczucia.

Danuta Irena Bieńkowska (1927-1974)

Florian Śmieja

Danuta Irena Bieńkowska

Powtarzamy zazwyczaj, że pamięć ludzka jest krótka, ułomna, a zdarza się, że wcale nie zainteresowana, by zachować zapis niektórych wydarzeń i ich aktorów. Dawniej prasa poświęcała mu swoje kolumny pieczołowicie odnotowując z kronikarskiego obowiązku zgony i dokonania zmarłych. Dziś ambitnej prasy jest co raz mniej, gazety proponują sensację i rozrywkę, nietrwałe

felietony i efemerydalną sieczkę. Utrwalanie ważniejszych zaszłości, przegląd wybitniejszych postaci, które przewinęły się przez scenę, nie obowiązują. Jeżeli jeszcze dodać brak dobrej woli, zapomnienie grozi wielu dawniej respektowanym zwyczajom.

Była wśród nas w Toronto poetka i nauczyciel akademicki Danuta Irena Bieńkowska (1927-74). Choć umarła młodo tragiczną śmiercią, zapisała się znacząco jako literatka i pedagog.

Urodziła się w Toruniu 7 grudnia 1927 roku w rodzinie zawodowego podoficera, lecz znalazłszy się w czasie wojny na terenach zajętych przez wojska sowieckie, została wraz z rodziną wywieziona do Uzbekistanu. a potem przez obozy uchodźców polskich przez Iran i Indie dostała się do Anglii. Krótkie dzieciństwo w Polsce miało się dramatycznie przemienić w tułaczkę na nieludzkiej ziemi, a potem, w orientalne niespodzianki Bliskiego Wschodu. Szczególnie zafascynowały ją Indie, których urok miał przetrwać do końca.

W Anglii podjęła studia literatury i języka rosyjskiego i angielskiego. Wyszła też za mąż, jak się miało okazać, nieszczęśliwie. Po przeniesieniu się do Kanady kontynuowała studia, a doktorat obroniła w Londynie, obierając za temat wczesną twórczość pisarską Stefana Żeromskiego.

W Toronto na uniwersytecie objęła lektorat języka polskiego, a później awansowała na profesora nadzwyczajnego. To ona opracowała i wprowadziła kursy literatury polskiej obejmujące teatr, prozę i poezję. Zajmowała się również folklorem słowiańskim. Dzięki jej wkładowi społeczność polska w Kanadzie doczekała się wprowadzenia języka polskiego do ontaryjskich szkół średnich.

Współpracowała z prasą emigracyjną. Drukowała w londyńskich "Wiadomościach", "Kontynentach", paryskiej "Kulturze" i torontońskim "Związkowcu" Dwa tomiki wierszy napisanych po polsku (pisała również po angielsku) pozwalają na wgląd w jej życie samotnicze, pełne rezygnacji i ataków choroby, a przecież pragnęła je rozegrać jak bajkę. Tak pisała w momentach optymizmu. Kiedy indziej odzywała się nuta niepewności:

> Między nocą a dniem,
>
> Między trwogą a nadzieją.
>
> Snuję, plotę swoje życie.
>
> I wyszywam biało-czarną nitką
>
> Linie kręte,splątane,

> Nigdy swego niepewne.

A potem była nawet prośba o tabletkę na śmierć. “Wiersze mi smutnieją pod piórem”, wyznała:

> I pochylają głowy
>
> Niedokończonych słów
>
> Jakby im zaciążył ten ból.
>
> Zaczęła jej doskwierać samotność, bała się nocy
>
> Jestem sama
>
> Bardzo sama
>
> Bez uniesień.
>
> Boję sie umierać na raty,
>
> Duchów w nocy,
>
> Snu.

Ale jeszcze się broniła, ogłaszała uczucia na sprzedaż, jak jabłka w koszu:

> Mam w sobie cały zapas
>
> Niezużytych uczuć.
>
> I uśmiecham się do kwiatow
>
> I do ptaków.
>
> Potem siadam przy oknie
>
> I czekam.
>
> Może nawet nie czekam
>
> Tylko trwam.
>
> Trwa we mnie czekanie
>
> Na jedno dobre słowo
>
> Które można zatrzymać

> Bez lęku.

Czekanie nie miało końca, bolała pustka. Zrodził sie lęk:

> Boję się samego siebie,
>
> Tej ręki, co mnie pcha
>
> W wielką niewiadomą
>
> W noc.
>
> Odsłonię wszystkie okna
>
> Otworzę wszystkie drzwi,
>
> Może uda mi się uciec.
>
> Już się ogień zapalił.
>
> Los zagląda przerz szyby,
>
> I zimnymi palcami puka.
>
> Boję się.

Raz po raz pojawiały się nuty rozpaczy. Czuła, że stała się zwiędłym, nikomu niepotrzebnym liściem.

> A potem się oderwę
>
> I wolno będę spadać
>
> Bez żalu i bez lęku
>
> W niebyt.

To prorocze spadanie miało się ziścić 9 lipca 1974 roku, kiedy zginęła w katastrofie kolejki linowej w norweskim Bergen.

Na szczęście, literacka puścizna Bieńkowskiej została opracowana z pietyzmem przez lojalnego kolegę profesora Bohdana Budurowycza i wydana w tomie “Między brzegami” przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w 1978 roku. Profesor Louis Irribarne napisał solidny wstęp w języku angielskim. Edycja obejmuje poezję, wybór prozy oraz troskliwie zebraną bibliografię pism Bieńkowskiej. Ta książka, piękny hołd dla nieprzeciętnej postaci na arenie polskiego życia kulturalnego w Kanadzie, potwierdza gorzkie słowa epitafium „Pozostały po mnie wiersze…”, ale także, wbrew pesymizmowi, pamięć prawdziwych przyjaciół i wiernych czytelników.

Toronto, fot. Jacek Gwizdka.